

Marek Pogorzelski

## UPADEK

Opuszczali budynek niewielkimi grupami. Gospodyni – Bożena, kobieta tak wiekowa, jak jej imię – nie chciała, by robić na ulicy zamieszanie. Dlatego nikt nie przyjechał przed bramę samochodem. Robert i Anna wyszli z Julią jako jedni z pierwszych. Nie było to trudne. Zawsze po mszy niemal wszyscy chcieli zamienić parę słów z Piotrem. Oni ograniczali się do kiwnięcia głową, uśmiechu, czasem kurtuazyjnego uścisku dłoni. Po opuszczeniu posesji od razu weszli do rozciągającego się po drugiej stronie ulicy parku, dołączając do licznych w to niedzielne popołudnie spacerowiczów.

Zima skończyła się w połowie kwietnia. Jeszcze tydzień wcześniej na ulicach leżał brudny, nadtopiony śnieg. Dziś nie było po nim śladu. Zegarek wskazywał 23 stopnie, jednak Robert czuł, że w pełnym słońcu temperatura sięga niemal 30. Pomyślał o kremie. Wciąż smarował się tym zimowym przeciwi wysuszeniu i odmrożeniom. Pora zmienić na letni – z filtrem UV. Regularnie szczepił się na raka, był jednak dumny z jasności swojej cery i chciał ją zachować.

Anna była w złym nastroju, co stało się już normą. Robert zdążył się do tego przyzwyczaić. Partnerka trudno znosiła wolne niedziele. Tworzyli rodzinę, kochali się, jednak dzień pozbawiony wyzwań zawodowych oboje uznawali za bezproduktywny. Takie były jednak niestety zalecenia korporacyjne, a nawet obowiązujące prawo – jeden dzień w tygodniu trzeba spędzić z rodziną, wychowując kolejne pokolenie Europejczyków.

Robert też czuł się nieswojo. Nie potrafił nigdy zrozumieć autorów starych tekstów kultury opisujących oczekiwanie na odpoczynek. A już zwłaszcza lewicowych ekstremistów, którzy wymyślili osmiogodzinny dzień pracy, a potem zrobili dwa dni wolnego w każdym tygodniu! Szczęśliwie po ponad stu latach tendencja się odwróciła. Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych uznało spełnianie ambicji zawodowych za podstawowe prawo człowieka, co wielu komentatorów nazwało pierwszą istotną decyzją w dziejach organizacji. Pociągnęła ona za sobą wydłużenie dnia i całego tygodnia pracy na całym świecie. Tylko kilka ekstremistycznych demokracji, przede wszystkim w Skandynawii, nie zastosowało się do decyzji, ściągając na siebie i swoich obywateli drastyczne sankcje, z blokadą mediów społecznościowych włącznie.

Obserwował Julię. Dziecko zdawało się nie przejmować zupełnie niczym. Ani dniami z rodzicami – w odróżnieniu od większości przedstawicieli swojego pokolenia nie miała z tym problemów – ani ich złym nastrojem. Julia chwyciła jakiś patyk i to się nim podpierała, to uderzała o ziemię, o drzewa czy mijane krzaki. Za każdym razem przykładała do tej bezsensownej czynności bardzo dużo uwagi. Zupełnie jakby miała ona jakieś znaczenie.

[...]

Obiad poprawił im nastrój. Atmosferę rozluźniła rozmowa o pracy. Anna skupiała się nad implementacją na rynek europejski opracowanej w Bejging strategii sprzedaży wycieczek do Japonii. W kraju niedawno wybuchła wojna domowa i biura podróży – jak zwykle w takich przypadkach – ścięły się o żądnych ekstremalnych wrażeń turystów. Pokrótce opisała Robertowi, co Chińczycy wprowadzają na swoim rynku.

– Sam bym chętnie pojechał – podsumował, gdy skończyła.

– No właśnie. To uniwersalna strategia, która powinna mieć zasięg globalny. Ale model funkcjonowania ExtremeRest zakłada lokalizację geograficzną wszystkich działań marketingowych. Muszę więc wprowadzić zmiany.

– Jakież? – zapytał, by podtrzymać rozmowę, która wreszcie nabrała tempa.

– W tym rzecz. Nie mam pojęcia. Jeśli zmiany za daleko pójdą, wywrócą strategię i nie zrealizujemy targetu. Ale muszą być też na tyle znaczące, żeby... – Podniosła do ust kieliszek z bezalkoholowym Porto szukając odpowiedniego słowa.

– Żeby Bejging zauważył wasz wysiłek – dopowiedział za nią. Kiwnęła głową.

– Zleciłam badania. Potem będę przerabiał. Choć wszystkie zasoby, media, budżet, mam pod strategię chińską. Wymyślę coś. Najgorsze, że jest mało czasu.

Oboje wiedzieli, z czego to wynika. Media donosiły co jakiś czas o możliwych rozmowach pokojowych. Samo ich podjęcie było wysokim ryzykiem dla projektu, a ich powodzenie pogrzebałoby jego sens.

Praca Roberta była co najmniej równie ciekawa, szczególnie musiał jednak trzymać w tajemnicy. Anna wiedziała jedynie, że pracuje w Biurze



Marek Pogorzelski

Ochrony Kapitału. Nie dopytywała więc, czerpiąc ze swojego życia zawodowego wystarczająco dużo wrażeń.

Biuro Ochrony Kapitału utworzono kilka lat po koronawirusie, w czasie szalejącego kryzysu. Dokładna data jego powołania jest tajna, przez kilka pierwszych lat o jego istnieniu wiedzieli tylko ci, którzy zdecydowali o jego powstaniu, oraz pracownicy. Dopiero w połowie lat trzydziestych, gdy media społecznościowe na poważnie zabrały się za weryfikowanie miejsc pracy użytkowników, okazało się, że taka instytucja istnieje i zatrudnia całkiem sporo osób. Niewielu wiedziało jednak, czym się zajmują.

Biuro chroniło menedżerów i właścicieli firm, najważniejsze osoby w strukturze ekonomicznej Systemu. Dbało o ich bezpieczeństwo fizyczne i kontrwywiadowcze, ale również śledziło stan zdrowia, dietę, aktywność oraz życie prywatne. W razie stwierdzenia zagrożeń dla prawidłowego funkcjonowania zawodowego obserwowanej osoby – interweniowało.

Robert pełnił funkcję Senior Analyst. Zadaniem jego i kilkudziesięciu innych analityków zatrudnionych w Sekcji Polski Północnej i Kaliningradu było analizowanie zachowań i postaw podopiecznych BOK tak, by zawczasu wykrywać i eliminować przypadki potencjalnie zagrażające Systemowi. W praktyce praca sprowadzała się do wylapywania ze wszystkich dostępnych źródeł (raporty agentów, monitoring wizualny, skrzynki pocztowe i społecznościowe figurantów, podsłuchy, badania lekarskie) ponadnormatywnych zachowań i cech oraz uzupełnianie o nie profilu osobowego. Rolą analityka było też określenie granicy, po której przekroczeniu figurant był eliminowany, co sprowadzało się do degradacji na nieznaczące stanowisko i radykalnej zmiany środowiska.

Podobnie jak Robert, wszyscy figuranci byli native'ami. Wychowywani od najmłodszych lat w angielskojęzycznym środowisku przy permanentnej immersji językowej, stanowili elitę gospodarczą. Wiązało się to z przywilejami materialnymi i władzą, ale też bardzo dużą odpowiedzialnością. Przekroczenie limitu cech ponadnormatywnych mogło więc oznaczać zagrożenie dla całego Systemu. Takie podejrzenie eliminowało figuranta z grupy native'ów, degradując go do roli zwykłych ludzi, people'ów.

Praca wymagała dużego zaangażowania, ogromnej wiedzy o ludziach, ale przede wszystkim intuicji. Nadmierna lub niedostateczna liczba romansów, skłonności do uzależnień, oryginalne gusta artystyczne, dziwny styl ubierania się, nietypowe hobby, problemy z prostatą czy religijność – same w sobie były nieszkodliwe, jednak w pewnych konfiguracjach stanowiły potencjalne zagrożenie dla Systemu, dodatkowo potęgowane stanowiskiem native'a.

Robert opiekował się trzydziestoma sześcioma figurantami – trzema klasy A, sześcioma klasy B, dziewięcioma klasy C i osiemnastoma standar-

dowymi. Podział na klasy ułatwiał szacowanie ryzyka i zarządzanie analizą. Najwięcej uwagi i zasobów analitycy poświęcali klasie A, a kolejnym klasom proporcjonalnie mniej. Wśród figurantów Roberta w klasie A było dwóch europejskich menedżerów globalnych spółek – jeden z branży IT, drugi healthcare – a także jeden z najbogatszych Europejczyków (druga dziesiątka), właściciel największego na kontynencie koncernu bezalkoholowego. Wbrew pozorom praca była spokojna. Od dawna żaden z podopiecznych nie zbliżył się do granicy zagrożenia. Wszyscy wiedli fascynujące, nieodbiegające od norm życia. Czujność była jednak niezbędna, dlatego Robert metodycznie analizował wszelkie dostępne dane.

Po dwunastu godzinach pracy i zajęciach dodatkowych (sesja Co-unter Strike we wtorki, siłownia w czwartki i coaching mentalny w piątki) nie było wiele czasu na życie rodzinne. Robert odbierał Julię z przedszkola (o tej porze dzieci już śpią, wywozi się je do samochodu na specjalnych wózkach) i jechał do domu. We środy i soboty zgodnie z zaleceniami GlobalHealth uprawiali z Anną seks, o czym zawsze przypominała aplikacja. W pozostałe dni do odstresowania wystarczyły domowe gry wideo.

Przez weekend nie zdarzyło się nic szczególnego. Pierwszą czynnością Roberta po przyjeździe do pracy było przejrzenie raportów z nocy, a w każdy poniedziałek także z całej wolnej niedzieli. Wyglądały standardowo. Kilku figurantów odwiedziło rodzinę – zwykle własnych rodziców lub dzieci, kilku odpoczywało, większość jednak omijała zalecenia GlobalHealth i w tajemnicy pracowała w domu. Robert skrupulatnie odnotowywał tę cechę ponadnormatywną z pełną świadomością, że nie ma ona niemal żadnego znaczenia. Było też kilka przypadków szczególnych – jeden figurant był w teatrze, dwóch czytało powieści, a jeden w sobotę wieczorem pojechał do miejscowości Elk i tam w niedzielę trafił do lekarza. Robert odnotował, że po meetingach należy sprawdzić ten przypadek.

Pracy było mało. Meetingi – kolejno: raport globalny, odprawa sekcji, konsultacje kluczowych przypadków (Robert takich nie miał, ale chętnie pomagał kolegom) – zakończyły się już po siedemnastej. Robert raz jeszcze przejrzał raporty. Nadeszły wyniki badania moczu jednego z figurantów klasy A, prezesa z branży healthcare. Wszystko w normie, jednak kilka pozycji wykraczało poza znacznie ostrzejszą normę BOK. Robertowi te dane niewiele mówiły, mogły jednak oznaczać realne zagrożenie, zamówił więc interpretację w dziale medycznym.

Otworzył monitoring wizyjny i po kolei sprawdzał, co robią figuranci. Na ekranie wyświetlał się widok z kamery, aktualny podgląd ekranu personalnego figuranta, lista wiadomości i połączeń głosowych. Nic szcze-

gólnego. Pracowali. Większość o tak wczesnej porze – nie minęła jeszcze osiemnasta – była w swoich biurach, kilku na spotkaniach, dwóch na lunchu, jeden w toalecie, a jeden szedł korytarzem, lekko utykając.

Robert zatrzymał się na nim. To figurant klasy B o tickerze CE-O96215FBC@, prezes FB Corp., firmy produkującej mrożone pieczywo. Ten sam, który dzień wcześniej miał wizytę u lekarza w Elku. Analityk przyjrzał się obrazowi na ekranie. Figurant ewidentnie utykał. Lekko, ale jednak. Wcześniej Robert tego nie zauważył.

Zalogował się do systemu medycznego i odnalazł wizytę u lekarza w Elku. Niektóre lokalne systemy wciąż nie uwzględniały przeprowadzonego niemal dziesięć lat wcześniej upgrade'u języka eliminującego wszelkie znaki diakrytyczne. Miało to między innymi ułatwić wyszukiwanie, skutek często był jednak odwrotny. Pod adresem „Elk” nic nie znalazł. Dopiero dawna nazwa – Ełk – dała pożądane wyniki. Dokumentacja pacjenta była wyjątkowo uboga, prowadzona według dawnych standardów, obejmujących jedynie kwestie medyczne, lekceważących bezpieczeństwo Systemu. Robert zanotował w pamięci, że należy to zgłosić.

„Pacjent skarży się na ból prawej stopy po urazie przy wstawaniu z łóżka. Podejrzenie skręcenia. Wykluczono złamanie” – opis był wręcz skandalicznie lakoniczny. Dalej następowały absurdalne zalecenia z poprzedniej epoki, takie jak oszczędny tryb życia, nieforsowanie nogi, odpoczynek etc.

Robert westchnął. „Wiem, że nic nie wiem” – zacytował w myślach żartobliwą sentencję. Niedzielny wyjazd poza miasto w przypadku figurantów klasy B oznaczał zdjęcie z całodobowego monitoringu. Jediną szansą w takich sytuacjach były kamery w miejscu pobytu, jednak nie wszystkie hotele je miały. Wciąż nie wprowadzono takiego obowiązku. Nawet jeśli monitoring hotelowy obejmował pokoje, rzadko było to widoczne w systemie. Robert bez większych nadziei sprawdził rezerwację i nazwę hotelu, po czym przekleił kod do wyszukiwarki. Monitoring był! Analityk szybko znalazł właściwy pokój.

Jedyna kamera swoim zasięgiem obejmowała dużą część pomieszczenia z wyłączeniem łazienki. Najważniejsze było łóżko. W tym momencie zajęte przez dwie zwinne, prawdopodobnie młode osoby. Zgodnie z regulaminem BOK Robert powinien unikać takich przypadkowych widoków, cofnął więc nagranie do niedzielnego poranka. Jakość była bardzo słaba. Robert nałożył kilka filtrów i wygładził obraz. Dało to tylko tyle, że widoczna była sama sylwetka figuranta.

Mężczyzna obudził się wcześniej. Czas nagrania wskazywał 6:23. Wstał, po czym od razu stracił równowagę i przewrócił się na podłogę.

Leżał przez kilka sekund, po czym podniósł się i mocno kulejąc, wyszedł z kadru, prawdopodobnie do łazienki. Wrócił po kilku minutach, wciąż utykając, jednak już nieco mniej. Robert przyspieszył obraz. Figurant kręcił się po pokoju jeszcze ponad dwie godziny. O 8:58 był spakowany i kulejąc, opuścił pokój.

Analityk cofnął nagranie do momentu wstawania z łóżka i upadku. Widział tylko sylwetkę, w jej ruchach było coś dziwnego, niezdarne. Proces wstawania poprzedziła chwila wiercenia się, przekładania na łóżku, potem nienaturalne zgięcie, wyprostowanie i wreszcie – upadek.

[...]

W kolejnych dniach wypadek prezesa FB Corp. nie dawał Robertowi spokoju. Nie miał jednak czasu zajmować się tym w godzinach pracy. Wysłał tylko zlecenie analizy stanu zdrowia figuranta. Badanie błędnika nie wykazało nic niepokojącego, poza potwierdzeniem skręcenia nogi w kostce pozostałe wyniki również nie przyniosły żadnych interesujących informacji. Robert podświadomie wracał do tematu w samochodzie, na siłowni, przed zaścięciem. Zaplątał się w pościel? Uraz był wcześniejszy, a upadek to efekt niezdarności związanej z unikaniem narażenia na ból? Poranna masturbacja? Do głowy przychodziły mu różne opcje. Postanowił, że w wolnej chwili jeszcze raz przeanalizuje temat.

Taki dzień nadszedł w czwartek. Meetingi zajęły zaledwie cztery godziny, w życiu figurantów nie wydarzało się nic szczególnego, wyniki raportów również nie wskazywały na cokolwiek niepokojącego. Robert odkopał się z zalegającej przez kilka dni papierkowej roboty. Rozliczył budżet za poprzedni miesiąc i z ulgą odebrał potwierdzenie wyjazdowego szkolenia w pierwszym tygodniu czerwca.

To była świetna wiadomość. Co roku zostawiali Julię na tydzień w przedszkolu i starali się wymyślić w tym czasie pilne i z pozorów niezależne od nich wyjazdy służbowe. Napisał wiadomość do partnerki. Odesłała emotikonę z uśmiechniętym jajkiem. Żadne z nich nie wiedziało, co ona oznacza, i czym się różni od uśmiechniętego drzewa, psa, penisa, czy ciastka. Ważne, że przoduje w trendach, więc wypadało jej używać.

Delegacja Anny nie była jeszcze potwierdzona. Kobieta wahała się między wycieczką do ogarniętej wojną Japonii – wyjazd przyjemny, lecz bezproduktywny – a szkoleniem z technik sprzedaży neurologicznej (level IV) w Beijing. Druga opcja oznaczała nudne i również bezproduktywne powtarzanie wyuczonych schematów, a jedyne, co dawała, to kolejny certyfikat. Wszystko było jednak lepsze od przebywania w tym czasie w domu razem z Piotrem. Anna skłaniała się ku szkoleniu. Certyfikat i tak należało wcześniej czy później zdobyć.

W przypadku Roberta zorganizowanie delegacji było znacznie bardziej skomplikowane. Pracował głównie stacjonarnie. Dostanie się na szkolenie, zwłaszcza wyjazdowe, w instytucji publicznej, jaką był BOK, nie było takie proste. Robert był zaliczany do drugiej ścieżki awansu – nie najszybszej i nie najwolniejszej. Oznaczało to również drugą kolejność przy przydzielaniu szkoleń i kursów – dawało się na nie zapisać, jednak było to trudne i wymagało nieco szczęścia.

Tym bardziej cieszył się, że kolejny rok z rzędu się udało.

Po siedemnastej postanowił wrócić do tematu upadku figuranta. Ponownie odszukał nagranie i kilkakrotnie obejrzał je uważnie, również w zwolnionym tempie. Przejrzał też pliki z soboty – nic nie wskazywało na to, że przed upadkiem prezes FB Corp. odczuwał uraz lub dyskomfort, który mógłby spowodować niekonwencjonalny sposób wstawania.

Po trzydziestu minutach analityk wyeliminował swoje dotychczasowe przypuszczenia, ani trochę nie zbliżając się, a wręcz oddalając od zrozumienia tego, co wydarzyło się w niedzielny poranek w Elku. Brak wyjaśnienia na pozór błahej tajemnicy tym bardziej intrygował. Robert po latach pracy wiedział, że podstawą jest pełne zrozumienie przyczyn objawu. Dopiero wtedy można w należyty sposób ocenić jego wagę.

Przełączył monitoring na podgląd figuranta. Mężczyzna był w swoim gabinecie i rozmawiał z kimś przez połączenie głosowe. Robert włączył dźwięk i posłuchał chwilę. Temat optymalizacji procesu dostaw – z perspektywy BOK nieistotny. W zamyśleniu zaczął przeglądać widok z pozostałych kamer przypisanych do prezesa FB Corp. Kilka z biura, pozostałe pokazywały puste wnętrza apartamentu, który zajmował on wraz z partnerką – hall, kuchnię, salon, gabinet, łazienki, sypialnię.

Robert zatrzymał się na ostatnim widoku. Obszerny pokój urządzony w modnym, ascetycznym stylu. Jedyne pojedyncze elementy – zasłony w oknach, kilka poduszek i beżowy fotel – nadawały mu ciepły, nawet nieco staromodny charakter. Robert wiedział, że pomoc domowa przychodzi do nich jedynie w poniedziałki, środy i piątki, mimo to w czwartkowy wieczór w pokoju i na samym łóżku panował nieskazitelny porządek.

Prezes FB Corp. i jego partnerka mieli niehigieniczny i coraz rzadszy wśród innych par zwyczaj sypiania w jednym łóżku. W gronie przydzielonych Robertowi figurantów były poza nimi jedynie dwie takie osoby – menedżer wodociągów tuż przed emeryturą, który spał z żoną, oraz młody prawnik. W tym ostatnim wypadku wynikało jednak ze względów praktycznych. Figurant bardzo często zmieniał partnerki, a z aktualnymi współżył po kilka razy na dobę. W tej sytuacji jedna sypialnia była dobrym przykładem optymalizacji codziennego życia.

Roberta kiedyś zastanawiało, co decyduje o tym, który z partnerów śpi po której stronie łóżka. Wśród obserwowanych par zauważył pod tym względem daleko posuniętą regularność. Dyrektor wodociągów zawsze spał po lewej, bliżej okna. Również po lewej stronie, za to dalej od okna, spał młody prawnik. Jego partnerki musiały wybrać prawą stronę, niezależnie od swoich preferencji. Dalej od okna, ale po prawej stronie, spał obserwowany prezes FB Corp.

Analityk przejrzał nagrania z momentu wstawiania z łóżka figuranta z ostatnich tygodni. W żadnym wypadku nie dopatrzył się niczego szczególnego. W ostatnich dniach widać było pewną nieczręczność w związku z urazem nogi, jednak poza tym wszystko przebiegało normalnie. Figurant wstawał i szedł do łazienki. Codziennie. Bez żadnych przygód.

Wrócił do nagrania z hotelu. Pokój był z grubsza podobny do sypialni figuranta. Zarówno pod względem urządzenia, jak i wystroju stanowił jej lustrzane odbicie.

Robert cofnął obraz.

Niedzielnny poranek, obrót, upadek.

Zatrzymał. Przełączył na obraz z soboty, z sypialni figuranta.

Figurant wstał.

Robert wrócił do obrazu z pokoju hotelowego.

Obrót, upadek.

Cofnął.

Obrót.

A potem upadek.

A może... – teoria, która przyszła do głowy Robertowi, wydawała się nieprawdopodobna. Próba jej udowodnienia nie była jednak trudna.

Otworzył kalendarz figuranta i przejrzał ostatnie delegacje z noclegami. Kaliningrad, środa w zeszłym tygodniu. Odnalazł hotel i sprawdził monitoring. Spóźnił się, obraz z kamer przechowywany był tylko tydzień. Szukał dalej. Wrocław, dwa tygodnie wcześniej. Obraz z kamery jest. Tylko pokój nie jest taki, jak powinien. Dla pewności Robert przejrzał zapis z poranka. Figurant po prostu wstał i udał się do łazienki.

To potwierdzało podejrzenie. Ale nie dawało ostatecznego dowodu.

Minęła dwunasta godzina pracy. Robert wciąż szukał, chociaż im bardziej cofał się w czasie, tym mniejsze były szanse na znalezienie potwierdzającego nagrania. Figurant miał kilka stałych kierunków delegacji i ulubione hotele, z których zawsze korzystał. Nie prowadziły one monitoringu wszystkich pokoiów, a te, które to robiły, nie przechowywały nagrań tak długo. Po przekroczeniu w wyszukiwarce dwanaście miesięcy wstecz Robert stracił już nadzieję. Wiedziony poczuciem obowiązku postanowił jednak szukać dalej.



[...]

Julia spała kamiennym snem. Przejazd z przedszkola do domu i przełożenie z mobilnej leżanki do łóżka nie obudziły jej. Mężczyzna nakrył dziecko i sprawdził stan powietrza w pokoju. Wszystko było w porządku. Na wszelki wypadek uruchomił jednak oczyszczacz. Przez noc poziom alergenów mógł niebezpiecznie wzrosnąć. Przed wyjściem z pokoju zatrzymał się na chwilę, żeby popatrzeć na dziecko.

Wróciło dziwne uczucie, które powtarzało się co jakiś czas. Robert nie umiał go nazwać. W kilku starych książkach, których fragmenty czytał, pisano o tęsknocie, ale – choć większość symptomów się zgadzała – to nie było to. Widywał przecież Julię niemal codziennie. Wieczorem zazwyczaj spała, rano jednak spędzali razem co najmniej kwadrans, a czasem nawet pół godziny. Nie mówiąc już o wspólnych niedzielach.

Robert był usatysfakcjonowany efektywnością wykorzystania swojego czasu. Nie marnował go na bezsensowne hobby. Rodzinie poświęcał nie więcej uwagi, niż wynikało to z zaleceń GlobalHealth. Mimo to niekiedy pojawiało się irracjonalne poczucie marnowania czasu. Irracjonalne, bo niezwiązane z pracą ani rozwojem, tylko właśnie z nią. Chwile spędzone z dzieckiem jawiły się wtedy jako jedyne dobrze wykorzystane. Zwykle odpędzał te uczucia, czasem jednak – i tak było teraz – pozwalał im na kilka minut zdominować świadomość.

Julia spała na plecach z twarzą zwróconą w stronę pokoju. Oddychała miarowo przez otwarte usta. Robert pomyślał o jej idealnym dzieciństwie, o przedszkolu, w którym niczego jej nie brakowało i w którym mogła rozwijać zdolności językowe, informatyczne, behawioralne i inne wymienione w katalogu, który był nie tylko dostępny online, ale też wydrukowany. Zapewniali jej wszystko, czego potrzebowała, powierzając wychowanie profesjonalistom. To gwarantowało dziecku najważniejsze – sukces w przyszłym życiu zawodowym.

Cicho zamknął drzwi do pokoju. Anna jeszcze nie wróciła. Podgrzał kolację i zjadł bez przyjemności. Położył się, nie włączając ekranu. Zasnął szybko.

Wbrew obawom przeszukiwanie archiwum nie zawiesiło systemu. Na liście kilkudziesięciu wyników Robert wyszukał nagrania z monitoringu z badanego okresu. Okazało się, że ścieżka do plików prowadziła przez katalog „projekty specjalne”, a dalej „eventy wewnętrzne”. Sam nigdy by na to nie wpadł.

Najchętniej przejrzałby wszystko od razu, nie mógł jednak zaniedbywać codziennych obowiązków. Na razie zapisał więc wyniki w systemie i sprawdził listę zadań na dziś. Nie wyglądała imponująco. Standardowe

zapoznawanie się z raportami, dwa meetingi i wypełnienie formularza delegacyjnego. To ostatnie musiał koniecznie zrobić do końca dnia.

Sprawa delegacji była dla niego priorytetowa. Musiał wyjechać za wszelką cenę. Alternatywą było pozostanie w domu i tygodniowe towarzystwo Piotra, na co nie miał najmniejszej ochoty. Robert nawet go lubił. Piotr był dobrym duszpasterzem, znacznie lepszym niż jego poprzednik. Angażował się, głosił świetne kazania, nie potępiał tego, że ludzie żyją normalnie. Gościem był jednak fatalnym. Jak niemal wszyscy księża nie miał domu ani źródła dochodu. Pomieszkiwał więc u wiernych. Co jakiś czas każda z rodzin z katolickiej wspólnoty musiała mu dać dach nad głową i utrzymywać go przez tydzień. Piotr, mimo że od dawna było to zabronione, palił tytoń i pił mocny alkohol. Lubiał też do późnych godzin nocnych zagadywać gospodarzy rozmowami na nieistotne tematy. „O życiu” – jak sam mówił. Robert dotychczas tego nie doświadczył. Zawsze udawało im się z Anną załatwić na ten czas jakieś pilne delegacje. Zostawiali Piotrowi swój apartament i pełną lodówkę. Potem wystarczało zamówić sprzątanie i odświeżanie powietrza i jakoś dało się nadal funkcjonować.

Raporty załatwił bardzo szybko. Jeszcze przed meetingami wypełnił formularz delegacyjny. Niestety, spotkania przeciągnęły się do osiemnastej. Dopiero pod wieczór mógł więc wrócić do sprawy upadku figuranta w Elku.

Otworzył zapisane dane z kamer silesiańskiego hotelu.

Trzy pobyty.

Dwa pierwsze na liście nic nie wniosły ze względu na ustawienie mebli w pokoju. Robert otworzył monitoring z pobytu w trzecim pokoju. Od razu na jego twarzy pojawił się uśmiech. Ustawienie mebli w pokoju było takie, jak w Elku, i dokładnie odmienne od tego w domu figuranta i poprzednich pokojach. Suwakiem przewinął do poranka. Z doświadczenia wiedział, że prezes FB Corp. wstaje około 6:30. Ustawił 6:28, włączył z rzeczywistą prędkością odtwarzania, oparł się na krzesło i patrzył.

Mimo panującego w pokoju mroku obraz był bardzo dobry. Figurant spał szczelnie przykryty. Robert widział twarz i jedną rękę – druga była pod koldrą.

Przez kilkadziesiąt długich sekund nie działo się nic. Robert czekał cierpliwie.

Nagle dostrzegł pulsacyjne światło zegarka na szafce nocnej. Oznaczało to, że włączył się alarm. Figurant poruszył się. Przez chwilę wiercił się niespokojnie, walcząc o sen, w końcu podniósł głowę i sięgnął po zegarek, prawdopodobnie wyłączając alarm lub uruchamiając tryb drzemki. Przez kilkanaście sekund leżał, po czym energicznie usiadł na łóżku. Rozejrzał

się. Pomału obrócił całe ciało frontem w kierunku pokoju i dopiero wtedy spuścił nogi na podłogę.

Robert zacisnął kciuki w geście radości. Zagadka rozwiązana! Podejrzenia się potwierdziły!

Figurant na ekranie wstał z łóżka i udał się do łazienki.

Robert szybko przeanalizował sytuację. Mimo wszystko miał za mało danych, by wpisać do raportu. Nie lubił oznaczać cech ponadnormatywnych jako „podejrzenie”. To nic nie dawało. Musiał mieć pewność!

Widok z kamery w łazience pokazywał, jak prezes zarządu FB Corp. się wypróżnia. Potem mężczyzna wstał i udał się pod prysznic.

Robert sprawdził, czy znajdzie inne nagrania figuranta z hotelu. To było ostatnie. Przeanalizował szybko szansę na odszukanie jeszcze czegoś w archiwum. Była minimalna i oznaczała kilka dni żmudnej pracy. Raczej trudnej do wytłumaczenia w timesheetach. Pozostawała prowokacja.

Cofnął nagranie raz jeszcze do momentu przebudzenia figuranta.

Budzik. Wyciszenie. Podniesienie się. Obrót. Spuszczenie obu nóg i wstanie z łóżka.

Robert w milczeniu wpatrywał się w dowód swojego triumfu.

Figurant wstaje zawsze prawą nogą! Nawet gdy wymaga to zmiany pozycji na łóżku. Nawet gdy ryzykuje upadek i skręcenie nogi! Jest przesądny! Kolejna cecha ponadnormatywna. Wystarczy ostatecznie potwierdzić i wpisać do akt.

[...]

O ile przełożenie delegacji menedżera firmy nie jest niczym niezwykłym, o tyle jego zachowanie w wieczór urodzin mocno odbiegało zarówno od jego trybu życia, jak i ustalonych w podobnych sytuacjach schematów. W związku z rocznicą urodzin w grafiku GlobalHealth prezesa FB Corp. nie figurowały na ten dzień żadne zajęcia (normalnie we wtorki miał basen i co dwa tygodnie seks z partnerką). Schematyczne zachowania większości figurantów w rocznicę własnych urodzin obejmowały spotkania z rodziną i/lub znajomymi, wyjście do restauracji lub klubu, ewentualnie seks, zazwyczaj poza stałym związkiem. W tym wypadku figurant zachowywał się jednak inaczej niż wszyscy.

Pracę skończył wcześniej niż zwykle i już kilkanaście minut po osiemnastej siedział w samochodzie autonomicznym kierującym się w samo serce Centrum. O osiemnastej trzydzieści dwa wysiadł przy jednym z trzech największych węzłów przesiadkowych w Warszawie, po czym od razu skierował się do podziemi. W tym momencie na półtorej godziny Robert stracił go z oczu. Labirynt centrów handlowych i przejść między nimi w podziemiach centrum miasta był monitorowany, do większości kamer nie było jednak dostępu w czasie rzeczywistym.

Robert postanowił zająć się czymś innym. Do zakończenia pracy pozostała niespełna godzina. Aby nie tworzyć zbędnych zaległości, musiał przejrzeć kilkanaście raportów i z kilku z nich sporządzić notatki. Przed wyjściem – dziś jechał na sesję CS'a – zerknął jeszcze na profil figuranta. Pojawiła się nowa informacja – płatność w sklepie muzycznym w centrum handlowym. Jedną z wcześniej ustalonych cech ponadnormatywnych figuranta było zamiłowanie do muzyki ludowej i to kupowanej na staromodnych nośnikach. Prawdopodobnie kolejne płyty – pomyślał Robert, wyłączając ekran.

Prawdziwą przyczynę wizyty figuranta w sklepie muzycznym analityk poznał dopiero rano. W szczegółowej informacji o dokonanej płatności znalazł tylko tak enigmatyczne określenia, jak „akcesoria muzyczne” (trzy pozycje w różnych cenach) i „instrument muzyczny” (jedna pozycja, zdecydowanie najdroższa). Wszystko wyjaśniło się dopiero po sprawdzeniu monitoringu z wieczoru z sypialni figuranta.

Robert po raz pierwszy w życiu widział taki instrument. Składał się z dwóch części. Pierwsza wyposażona była w rząd klawiszy, takich jak w pianinie. Było ich jednak znacznie mniej. Drugi element był zbliżonej wielkości. Pokrywała go klawiatura kilkudziesięciu takich samych drobnych okrągłych guzików. Obie części instrumentu były ze sobą połączone czymś na kształt przegubu o prostokątnym przekroju.

Figurant siedział wyprostowany na brzegu łóżka i trzymał instrument przed sobą na wysokości klatki piersiowej. Stopniowo oddalał i przybliżał oba elementy. Ruch ten powodował wydawanie przez instrument skrzypliwego dźwięku. Naciskanie klawiszy i guzików miało prawdopodobnie zmieniać jego wysokość, a w efekcie tworzyć melodię. Na razie nie wychodziło to jednak dobrze.

Robert wyłączył dźwięk nagrania i przejrzał dostępne materiały na temat instrumentów muzycznych. Szybko odnalazł interesującą go pozycję. Instrument nazywał się akordeon i – co nie stanowiło zaskoczenia – był często wykorzystywany w muzyce ludowej. Na podstawie nagrania Robert ocenił, że dodatkowymi akcesoriami kupionymi przez figuranta w sklepie było czarne pudło do transportu instrumentu, pasy na ramiona i prawdopodobnie niewielka papierowa książeczka, do której przez cały wieczór figurant co chwila zaglądał.

Zachowanie prezesa FB Corp. było niewątpliwie dziwne, ponadnormatywne. Wymagało głębokiej analizy zawierającej wszystkie aspekty funkcjonowania figuranta.

Robert oderwał wzrok od monitora. Zamyślił się.

Należało uporządkować fakty. Lista dotychezasowych cech ponadnormatywnych była edytowalna. Robert stworzył tryb notatek. Wpisał

kolejno „skłonność do przesądów” i „akordeon” po czym obu pozycjom nadał status „do potwierdzenia”. Skłonność do przesądów zostanie potwierdzona lub zanegowana (w to Robert nie wierzył) po przeprowadzeniu prowokacji. Kwestia akordeonu wyjaśni się w ciągu kilku tygodni. Sam zakup był dziwaczny, tym bardziej poświęcenie całego wieczoru na próby gry. Na tym etapie trudno jednak było cokolwiek oceniać. Pozostało czekać.

Robert popatrzył w ekran, który odtwarzał zapis monitoringu z wczorajszego wieczora. Prezes FB Corp. siedział na łóżku w sypialni, na kolanach opierał instrument. Jedną ręką próbował poprawić pas nieustannie zsuwający się z ramienia, drugą kartkował niewielką książeczkę. Wyglądał na zupełnie zadowolonego, spokojnego, może nawet szczęśliwego. Robert przewidywał, że jeżeli obie nowe cechy ponadnormatywne się potwierdzą, spełnią tym samym przesłanki do eliminacji figuranta. By wszystko pozostało tak, jak dawniej, wystarczyło, by zostawił akordeon, wstał lewą nogą lub zanegował jedną z wcześniejszych cech ponadnormatywnych, na przykład zdradził partnerkę. Daj mi szansę – pomyślał Robert.

Wyłączył ekran i zabrał się za przeglądanie pozostałych raportów.

Przez kolejne cztery dni figurant codziennie próbował gry na akordeonie. Grał wieczorem, po pracy i wypełnieniu zaleceń GlobalHealth na dany dzień. Zajmowało to od dwóch do ponad czterech godzin.

Robert obserwował nagrania, niechętnie włączając dźwięk. Początkowo instrument wydawał z siebie serie nieuporządkowanych tonów o różnej, niepasującej wysokości. Figurant działał jednak systematycznie. Po kilku godzinach zaczął próbować grać jedną, kilkunastodźwiękową melodię. Gubił rytm, nie trafiał w przyciski i klawisze. Robert nie odtwarzał całości nagrań – nie miał na to czasu. Stopniowo dało się jednak usłyszeć postępek. Melodia była prosta. Po kolei, w mniej więcej równych odstępach, figurant grał osiem dźwięków, nie powtarzając żadnego, od niskich, do wysokich, a potem z powrotem, te same dźwięki – od wysokich do niskich.

Robert znał tę melodię, na razie nie zadał sobie jednak trudu, by sprawdzić, skąd. Była bardzo prosta, wyglądała na idealnie nadającą się do ćwiczeń dla początkujących muzyków. Z perspektywy pracy analityka istotny był jedynie czas poświęcany przez figuranta na to bezproduktywne działanie i systematyczność, która stanowiła negatywny prognostyk na przyszłość. Postanowił jednak, że wstrzyma się jeszcze z wyciągnięciem ostatecznych wniosków.

W niedzielę obudzili się później niż zwykle. Pogoda była pochmurna, na szybach okien wciąż widniały krople po porannym deszczu. Jak zwykle w wolny dzień śniadanie zjedli razem. Dziecko spędzony wspólnie czas trakto-

wało tak, jakby było to coś oczywistego. Dorośli – jak zazwyczaj – czuli się nieswojo. Anna maskowała to jednak, opowiadając o swojej pracy.

Strategia promocji wyjazdów do Japonii był już gotowa, w sobotę została wysłana do Beijing do akceptacji. W połowie tygodnia spodziewana była odpowiedź, asystentka Anny miała przeprowadzić prace przygotowawcze tak, by go live mogło nastąpić w przyszły poniedziałek. Na szczęście obie strony przeprowadziły bombardowania obiektów cywilnych, w tym szkół, szpitali, a nawet serwerowni, co doprowadziło do zawieszenia rozmów pokojowych. Wszystko wskazywało na to, że projekt będzie sukcesem, co więcej, że może wypełnić KPI Anny na cały drugi kwartał.

Do Bożeny dojechali tuż przed mszą. Byli tam już wszyscy, same znajome twarze ludzi, których prawie nie znali. Tego dnia przypadła niezrozumiała dla nikogo ewangelia z przypowieścią o właścicielu winnicy, który wszystkim pracownikom zapłacił tyle samo niezależnie od tego, jak długo pracowali. Ksiądz Piotr podczas kazania uzasadniał Jezusa. Tłumaczył, że przypowieści stanowią metaforę i nie należy ich odnosić do relacji gospodarczych, że dosłowne interpretowanie rzeczywiście może budzić wątpliwości, ale jeżeli przyjmujemy, że właścicielem winnicy jest Bóg, a ludzie są robotnikami, to ma to głęboki sens.

Dla Roberta nie miało. Widział w tym niesprawiedliwość. Nie obchodziły go relacje ekonomiczne sprzed przeszło dwóch tysięcy lat, lecz przekładanie ich na relacje współczesnego człowieka z Bogiem budziło już sprzeciw. Piotr swoim kazaniem nie przekonał go, zasiał tylko wątpliwości. Mieli jednak ważniejsze, znacznie mniej przyjemne sprawy do załatwienia. Tym razem nie wyszli od razu.

– Słyszałem, że wyjeżdżasz – zagadnął Piotr Annę po zakończonym nabożeństwie.

Przytaknęła.

– Pilna delegacja – spojrzała na zegarek. – Dziś po siedemnastej mam hyperloopa do Moskwy. Potem przesiadka do Beijing. W przyszłym tygodniu nie będę na mszy.

– No to zostaniemy sami z Robertem i Julią – Piotr uśmiechnął się ze zrozumieniem. – Nie musisz się obawiać, poradzimy sobie.

Robert odwzajemnił uśmiech, mimo wysiłków chyba nie wypadło to szczerze. Tydzień z Piotrem był ostatnią rzeczą, jakiej w tym momencie potrzebował, a nawet więcej – był ostatnią rzeczą, jakiej w ogóle chciał. Termin pobytu księdza u nich w domu był już jednak dawno umówiony. Do tego konieczność przeprowadzenia prowokacji akurat w tym czasie powodowała, że Robert musiał ten tydzień spędzić w Biurze, a wieczory w domu, razem z zaproszonym, choć niemile widzianym gościem.

– Julia zostanie na tydzień w przedszkolu. Mam dużo pracy, więc raczej nie będę mógł dotrzymywać ci towarzystwa. Ale postaram się, by ci niczego nie zabrakło.

Piotr pokiwał głową.

– Lepiej się poznamy. Przecież minęło już tyle lat, a tak naprawdę nic o sobie nie wiemy. – Poklepał Roberta po plecach. – Przyjadę jutro. Gdy wrócisz wieczorem, już będę.

Robert przytaknął, dodając do tego mocno wymuszony uśmiech. Zdało mu się, że kątem oka dostrzegł współczujące spojrzenie Anny.

[...]

– Nalać ci? – Piotr pytającym gestem pokazał butelkę. Wyraźnie czuł się u Roberta jak gospodarz. Nie miał własnego domu, ale wszędzie zachowywał się pewnie. Na tyle, że chyba żadnemu z parafian jego wizyta nie sprawiała radości. Nie było jednak innego wyjścia.

– Nie piję. – Temu krótkiemu stwierdzeniu Robert postarał się nadać tyle mocy, by zawrzeć w nim nie tylko samą informację, ale i niezgodę na spożywanie alkoholu w domu i w ogóle potępienie dla mocnych alkoholi jako takich. Bez rezultatu. Piotr wzruszył tylko ramionami. Nalał niewielką ilość alkoholu na dno szklanki. Mrugnął i wypił jednym haustem. Lekko się skrzywił, wziął głęboki oddech i wypił łyk herbaty. Gestem zaprosił Roberta, by usiadł.

– Pogadamy?

Niby proste pytanie. Wymagające tylko jednej z dwóch odpowiedzi: tak lub nie. Mimo to zaskoczyło Roberta. Czy to zwykłe pytanie, czy propozycja? Po co mają pogadać? Dlaczego akurat w tym gronie? Dlaczego teraz – w poniedziałek, trzy minuty przed dwudziestą pierwszą?

Usiadł przy stole. Piotr wyjął papierosa.

– Wiem, że w tym domu nie palicie. To mi chcesz powiedzieć, tak?

Robert w milczeniu kiwnął głową.

– Ale ja palę. A tu nawet nie mam gdzie, nie ma balkonu, ogródka, nie ma gdzie wyjść. Jakoś to przecierpisz.

Zapalił papierosa. Robert od razu poczuł ostry zapach palonego tytoniu. Przez chwilę w milczeniu obserwowali niebieskawy dymek unoszący się cienkimi smugami od papierosa ku sufitowi. Piotr zaciągnął się kilka razy. Wydychany przez niego dym przypominał parę unoszącą się z ust w mroźne dni. Usłyszeli szum samoczynnie przełączającej się w tryb turbo wentylacji. Trochę pomogło. Mimo to Robert czuł, że dym szczypcie go w oczy. Uchylił okno, jedyne w całym mieszkaniu, które dawało taką możliwość. Piotr przerwał milczenie.

– Zasmrodziłem ci mieszkanie.

– Nie ma sprawy, przewietrzy się – Robert próbował ukryć irytację.  
– Teraz przynajmniej wiem, dlaczego mnie nie lubicie – Piotr ręką powstrzymał protest Roberta. – Wiem przecież. Nie lubicie, gdy musicie mnie nocować. Uciekacie. Anna wyjechała w delegację. Ty też wyjeżdżasz, jak wypada wasza kolej. Teraz nie wyszło?

– Wiesz, jak jest. Ciągłe gdzieś nas wysyłają... – Usprawiedliwienie Roberta było na tyle niemrawe, że Piotr nawet nie uznał za stosowne, żeby wziąć je pod uwagę. Zaśmiał się tylko, po czym uśmiechnął do Roberta serdecznie. Tak, jakby niczego nie miał mu za złe.

– Nie przejmuj się, większość parafian, gdy mam u nich nocować, nagle wyjeżdża. Albo tylko udają, że wyjeżdżają. Jeden, jak mu się nie uda załatwić delegacji, przynosi się na tydzień do hotelu, żeby tylko z proboszczem nie siedzieć.

Pomysł genialny w swojej prostocie. Robert zdziwił się, że sam na niego nie wpadł.

– Kto taki? – zapytał.

– Tajemnica spowiedzi. Ale przyznał się! – Piotrowi mówienie o niechęci do samego siebie wyraźnie sprawiało dziwną satysfakcję. – Za szczerość zmniejszyłem mu pokutę.

Robert nalał sobie herbaty. Piotr irytował go. Był księdzem, jedynym w Warszawie. Podobno niezłym. Czytywał opowieści o innych duchownych. Wynikało z nich, że mogli trafić o wiele gorzej. Inna sprawa, że mogło być też lepiej.

Piotr pił alkohol. I to nie tylko wino, które jako jedyny trunek było jeszcze dopuszczane przez prawo. Pił wódkę, która była dostępna tylko na czarnym rynku. Podobnie papierosy, które palił, i których zapach jeszcze długo po jego wyprowadzce unosił się w mieszkaniu. Poza tym nie był jednak zły. Jako gość nie wymagał wiele, poza tolerowaniem jego osoby. Nic nigdy nie zniszczył, żaden z parafian nie miał przez niego nigdy kłopotów.

Był też dobrym pasterzem. Nie był zacietrzewiony, nie wymagał od parafian nadzwyczajnych poświęceń, nie zmuszał do heroizmu. Robert słyszał o księżach, którzy oczekiwali od wiernych de facto wypisania się z Systemu, grożąc usunięciem ich z Kościoła. Piotr nie był aż tak zasadniczy. Co prawda potępiał cudzołóstwo, aborcję i eutanazję, kwestionując podstawy prawne Systemu. Było to jednak zgodne z tkwiącą wciąż w przeszłości nauką Kościoła. Prawdopodobnie nie miał więc innego wyjścia. Utykskiwał na zanik – jak to nazywał – życia rodzinnego i relacji we wspólnocie. Nie żądał jednak od wiernych rozdawania majątku, pochwalał działania prywatnego CSR i, w odróżnieniu od innych duchownych, starał się znajdować w rzeczywistości więcej dobrego niż złego.



Robert wypił łyk herbaty. Było mu go trochę żal. Piotr był na swój sposób sympatyczny. Nie miał domu. Tułał się, tydzień po tygodniu, po mieszkaniach kolejnych wiernych. Warszawska wspólnota nie była duża – praktykujących katolików było w mieście nieco ponad 150. Każda rodzina przyjmowała Piotra mniej więcej raz w roku.

– Mogliście trafić gorzej – Piotr jakby czytał w myślach. – Wiem, że to dla was uciążliwość. Ale wiecie przecież, że to nie mój pomysł. Przed Soborem było inaczej. W kościele odprawiano nabożeństwa, obok była plebania – jakieś mieszkanko dla księdza. Ksiądz mógł pracować, na przykład w szkole, nie zwracał wiernym głowy. Raz w roku tylko chodził po domach z wizytą duszpasterską. Posiedział dziesięć minut, pomodlił się i wychodził.

Robert wiedział. Trzeci Sobór Watykański zmienił wszystko. Biskupi uznali, że receptą na odpływ wiernych z Kościoła może być jedynie radykalne zaostrzenie reguł. Księżom zabroniono podejmowania pracy zarobkowej i posiadania majątku, nakazano utrzymywanie się jedynie z jałmużny, co w praktyce wymuszało dobrowolne opodatkowanie wiernych. To z kolei skutecznie ograniczyło ich szeregi do najbardziej wytrwałych. Przez jakiś czas wspólnoty usiłowały utrzymywać swoich pasterzy, wyprzedając pozostałości kościelnego majątku. To źródło dochodu jednak szybko się skończyło i wierni stanęli przed dylematem – zapewnić pasterzowi mieszkanie, co wiązało się z dodatkowymi kosztami, przyjmować go pod własnym dachem, co było uciążliwe, czy w ogóle z niego zrezygnować. Ta ostatnia opcja niektórym wydawała się najkorzystniejsza, w efekcie w wielu krajach msze święte odprawiane były zaledwie kilka razy w roku. Frekwencję na nich zapewniali przede wszystkim studenci i naukowcy specjalizujący się w historii, etnologii i religioznawstwie.

Milczeli. Oczy łązały od papierosowego dymu, jego zapach nie był już jednak tak uciążliwy. Piotr wypił dwa kieliszki. Nalewając, za każdym razem kierował delikatnym gestem szyjkę butelki w stronę Roberta i patrzył pytająco. Robert przecząco kręcił głową.

– Dlaczego... – przerwał milczenie po kilku, a może już kilkunastu minutach. Zamilkł zaskoczony własnym głosem szukając w myślach tego, o co chciał zapytać.

– Co dlaczego?

– Dlaczego... – Robert zawiesił głos. – Dlaczego zostałeś księdzem?

Piotr zapalił kolejnego papierosa. Zaciągnął się i wydmuchał dym, patrząc w jakiś punkt ponad głową Roberta.

– Słyszałeś o powołaniu?

Robert przytaknął. Słyszał, słuchał o tym od Piotra i innych duszpasterzy, których czasem oglądał w internecie. Powołanie, czyli jedyny słusz-

ny powód zostania księdzem, a w szerszym znaczeniu jedyny sensowny powód zostania kimkolwiek przez katolika.

– No widzisz. Ja też słyszałem – Piotr po chwili milczenia mówił dalej.

– I wtedy nawet wierzyłem. Wierzyłem, że to, co wtedy się działo, to znak od Boga, że on mi każe iść do seminarium, żyć w celibacie i zostać księdzem.

– Teraz już nie wierzysz?

– W tamto? – zawiesił głos. – Nie wierzę. To zbiór przypadków, z których każdy ma logiczne uzasadnienie, i żaden z nich wzięty osobno ani wszystkie razem, do niczego nie prowadzą.

– Co się stało?

Piotr wzruszył ramionami.

– Nic. Naprawdę. Byłem po szkole i przed studiami. W jedne wakacje zmarł mój ojciec i nie dostałem się na kierunek zgodny z obraną ścieżką kariery. Byłem wtedy bardzo wierzący i miałem dziewczynę, też bardzo religijną. I Magda – tak miała na imię – Magda wtedy, choć dostała się na prawo korporacyjne, o czym każdy marzył, postanowiła nie iść na studia, wyjechać na prowincję i uczyć w szkole publicznej.

– Dlaczego?

– Chciała czynić dobro. Zresztą zrobiła to i żyje w Bodzentynie. Ma męża, dzieci i jest dobra. Wtedy chciała mnie namówić, żebym jechał z nią, ja się nie zgadzałem i mówiłem, żeby została. Rozumiesz? Ja bez perspektyw, ona przyjęta na studia i taka sytuacja. Zagroziłem, że z nią zerwę, jak wyjedzie. Ona się popłakała i wyjechała.

Zaciągnął się papierosem. Robert zastanawiał się, gdzie jest Bodzentyn i dlaczego ktoś miałby tam żyć. Piotr miał to już najwyraźniej przemysłane, bo nie rozwijał tematu.

– Mówiłem ci, że nic się nie stało. Potraktowałem jak znak od Boga i poszedłem do seminarium.

– Bez powołania?

– Z powołaniem. Tak mi się wtedy wydawało. Teraz rozumiem, jakie to głupie. Ale samo to moje myślenie, że to powołanie, nieważne, czy słuszne, z dzisiejszej perspektywy samo w sobie wydaje się być powołaniem.

Robert uniósł brwi zdziwiony. Był wykształcony, uważał się za inteligentnego, jednak to przerastało jego rozumowanie.

– Pan Bóg nie potrzebuje powodu, by przywołać nas do siebie. Wystarczy, że to postanowi. I wpłynie na to, co się dzieje w naszej głowie, w sercu. Mimo że nie miałem tak naprawdę powodów, zdecydowałem się iść do seminarium, i to było powołanie.

Piotr uśmiechnął się, widząc, że Robert rozumiał. Przynajmniej tak mu się wydawało, Robert robił zresztą wszystko, by nie wyprowadzać

księdza z błędu. Historia była banalna, stwarzała jednak płaszczyznę porozumienia. Rezygnacja z kariery, zwłaszcza tak obiecującej, jak po prawie korporacyjnym, również dla Roberta była trudna do zrozumienia.

– Nie wszystko można zrozumieć. Wiara, Bóg, wymyka się rozumowi i człowiek go umysłem nie ogarnie – Piotr jakby czytał w myślach swojego rozmówcy. – Nie mamy takiej siły ani takiego narzędzia, nawet sztucznej inteligencji, by zrozumieć świat, a co dopiero Boga.

– Wszechświat jest opisany w sześćdziesięciu ośmiu procentach – przypomniał Robert powszechnie znane fakty. – Za sto pięćdziesiąt lat mamy osiągnąć dziewięćdziesiąt osiem procent, a przez kolejne stulecie sto procent bez kilku promili.

– Dobrze, że przypomniałeś – zaśmiał się Piotr serdecznie i nalał sobie wódki. Wypił jednym haustem i skrzywił się bardziej niż przedtem.

– Jako wszechświat rozumiesz świat fizyczny, a jako jego poznanie rozumiesz zapisanie danych na serwerze.

Robert przytaknął.

– A czy do 2200 roku, albo nawet sto lat później ludzkość opisze Boga?

Robert milczał. W prognozach nie było mowy o żadnych zjawiskach nadprzyrodzonych.

– Powiem ci coś o zrozumieniu Boga przez człowieka. Codziennie odmawiamy modlitwę powszechną... *Ojcze nasz* – poprawił się, widząc zdziwienie Roberta. – I wiesz co? Wydaje mi się, że nie ma na świecie człowieka, który wypowiadając ją, jest w stanie rozumem objąć znaczenie tych słów. Każdy wers, każde słowo i litera, są w niej tak pełne sensu, że modlitwa, odmawianie jej z pełnym zrozumieniem, jest niemożliwe. Sam akt modlitwy jest wyrazem wiary w to, co niepojęte. Musimy wierzyć, wierzyć w sens tych słów. Najważniejszych słów.

– Przecież to proste... – zdziwił się Robert. „*Ojcze nasz*”, w odróżnieniu od innych modlitw, prawie nie zawiera niezrozumiałych słów, odwołań, wielokrotnie złożonych myśli, w których gubi się sens.

– Proste?

– No tak, rozumiałe – Robert zganił się w duchu za podejmowanie polemiki. Zmuszał Piotra do riposty, niepotrzebnie wydłużając rozmowę.

– „Przyjdź królestwo Twoje”.

– Słucham?

– „Przyjdź królestwo Twoje” – powtórzył Piotr. – Co to znaczy?

Robert zmieszał się. Nigdy nie lubił odpowiadać, zwłaszcza ustnie, a teraz właśnie tak się czuł, jak w szkole, podczas odpowiedzi, a nawet egzaminu. Z uchylonego okna napływało chłodne powietrze. Dym gryźł w oczy. Piotr nalał sobie na dno szklanki i patrzył wyczekująco.

– Żeby przyszło królestwo boże... – zaczął niepewnie. Uśmiechnął się zadowolony z odpowiedzi. – To przecież jasne.

– Jasne. Tylko co to znaczy? „Przyjdź królestwo Twoje?”. Popatrz, jak to zdanie jest pojemne, jak wielka jest to prośba człowieka do Boga. Wypowiedzenie tego jednego zdania z pełną świadomością, z pełną odpowiedzialnością wykracza poza ludzką zdolność rozumowania. Tak wiele w nim treści. A takich prośb w tej jednej modlitwie jest siedem. I każda przepełniona niepojętym sensem.

Robert wstał i podszedł do okna, usiłując odetchnąć nieco świeższym powietrzem. Wydawało mu się, że rozumie, co Piotr ma na myśli. W pewnych okolicznościach mógłby spróbować podzielić to doświadczenie – spróbować zrozumieć i być może również stwierdzić, że to niemożliwe. Może to nawet coś by mu dało, czegoś nauczyło. Nie umiał tego jednak przewidzieć, zdefiniować potencjalnych korzyści. Miał zresztą ważniejsze sprawy na głowie.

Było już dobrze po północy, gdy skończyli rozmowę. W miarę upływu czasu jej tematy były coraz bardziej błahe, a słowa Piotra coraz mniej czytelne. Gdy Robert wstał od stołu i udał się do sypialni, ksiądz tylko bez słowa odprowadził go wzrokiem.

[...]

Obserwował zegar na ekranie. Sekundy biegły bardzo wolno. W słuchawkach słyszał miarowy oddech prezesa FB Corp. Jeden cykl, wdech i wydech, zajmowały około siedmiu-ośmiu sekund. Dużo. Robert nie był pewien, czy nie za dużo. Ale chyba normalnie. Na razie to nie miało znaczenia. Kilka sekund przed wpół do siódmej przeniósł wzrok na leżącą na szafce nocnej zegarek figuranta.

O szóstej trzydzieści zegarek zaświecił się i zawibrował. Po kilku sekundach zaczął wydawać dźwięk – prostą, gwizdaną melodię. Obserwowany drgnął, jego oddech się skrócił. Wyciągnął rękę i dotknął zegarka. Gwizd i wibracje ustały. Robert sprawdził. Funkcja drzemki została uruchomiona. Zajrzał do ustawień szczegółowych – trwała osiem minut. Robert oparł się na fotelu, westchnął i przymknął oczy. Słyszał znowu miarowy oddech figuranta.

Po chwili usłyszał ruch. Obserwowany ponownie sięgnął po zegarek, prawdopodobnie sprawdzając godzinę. Przewrócił się na plecy i podsunął do głowy, opierając barki i głowę o wezglowie łóżka. Sięgnął po tablet. Robert włączył podgląd ekranu. Mężczyzna czytał wiadomości, które przysłano mu w ciągu ostatnich godzin. Potem zajrzał do newsów i przeglądał nagłówki. Zatrzymał się na chwilę przy informacji o rozmowach pokojowych w Japonii, szybko jednak porzucił artykuł i przeszedł do tekstu o zatrzy-

maniu prezesa firmy Middle, największego generatora muzyki rozrywkowej w internecie. Robert – jak wszyscy – znał tę aplikację, często używał jej na siłowni, a nawet jadąc do pracy. Middle nie korzystała z baz gotowych utworów, tylko generowała muzykę specjalnie dla odbiorcy, uwzględniając jego gust, porę dnia, a nawet tętno. Była wprost idealna. Z artykułu wynikało, że firma, mimo generowanego zysku i rosnącej wartości akcji, nie spełnia oczekiwań rynku. Jej prezes i założyciel został więc oskarżony o niewystarczający wzrost i aresztowany. Samo oskarżenie jest równoznaczne z eliminacją z grupy native'ów, a jeśli zarzuty się potwierdzą, grozi mu do pięciu lat pozbawienia wolności.

Figurant, a razem z nim Robert, przeczytał cały tekst. W końcu mężczyzna odłożył tablet i chwilę leżał bez ruchu. Po kilku sekundach zsunął się niżej i przewrócił na brzuch. Powoli przysunął się do krawędzi łóżka. Spod kołdry na podłogę zsunęła się prawa noga. Palce oparły się na miękkiej wykładzinie, w tym czasie mężczyzna uniósł górną część ciała na rękach, podniósł biodra i opuścił lewą nogę na podłogę. Na chwilę zastygł z wypiętą pupą, stojąc na podłodze i opierając się rękami o materac. Przeniósł ręce bliżej krawędzi, ugiął nieco nogi przenosząc na nie ciężar ciała i wyprostował się. Wyciągnął ręce do góry rozciągając zastygłe przez noc mięśnie.

Analitik upewnił się, że wszystko się nagrało. Zapisał plik i dla pewności zrobił kopię w chmurze. Uzyskał potwierdzenie. Figurant miał kolejną cechę ponadnormatywną – skłonność do przesądów.

Robert spojrział na zegarek. Była szósta czterdzieści cztery. To będzie dobry dzień – pomyślał.

[...]

Anna była wścicka. Zazwyczaj spokojna, wręcz chłodna, nieulegająca emocjom, tym razem wyraźnie dała im się ponieść. Jej głos podnosił się, by po chwili się załamywać, sugerując bliski wybuch płaczu. Zaraz wracała jednak irytacja, przechodząca z czasem w poczucie rezygnacji. Robert trzymał słuchawkę przy uchu i nie wtrącał ani słowa, ograniczając się do wydawania nieartykułowanych dźwięków sugerujących zaangażowane słuchanie.

We wtorek rano Anna otrzymała z Beijing akceptację swojej strategii sprzedaży wycieczek do pogrążonej w wojnie domowej Japonii. Centrali ExtremeRest najwyraźniej bardzo się spieszyło. Jak się okazało – słusznie. W nocy z wtorku na środę (w Japonii była już środa) nadeszły pierwsze informacje o rozmowach pokojowych. Należało się więc spieszyć. I to bardzo. Anna zdecydowała, że działania promocyjne rozpocznie już w czwartek, nie czekając na początek przyszłego tygodnia. W każdej chwili mogła jednak

nadejść informacja o zawieszeniu broni lub nawet zawarciu pokoju, co niewczyły wszystkie plany.

Robert był zadowolony z niespodziewanego telefonu od partnerki, miał nadzieję, że dzięki niemu uda się dziś uniknąć kontaktu z Piotrem. Anna zadzwoniła, gdy właśnie wchodził do apartamentu. Piotr siedział w jadalni i coś czytał. W powietrzu unosił się niecznośny zapach palonego tytoniu. Robert kiwnął mu głową, wskazał na słuchawkę i bezgłośnie, wykonując tylko ruch ustami, powiedział „Anna”. Skierował się do sypialni.

Sytuacja w ExtremeRest była naprawdę trudna. Uruchomienie środków na kampanię nie wynikało z decyzji Anny, podobnie jak ryzyko związane z kosztami rezygnacji z już wykupionych wycieczek po ewentualnym podpisaniu pokoju. Te decyzje zapadały w Beijing. Wojna w Japonii była jednak dla Anny wielką szansą nie tylko wypełnienia, ale też znaczącego przekroczenia KPI w tym kwartale. Poza premią wiązało się to z uznaniem i kolejnymi punktami do przyszłego awansu. Pokój w Japonii oznaczał przekreślenie tych nadziei.

Rozmawiali kilkadziesiąt minut. Mówiła głównie Anna. Nudziło go to, znacznie chętniej zająłby się czymś innym, ciekawszym. Alternatywą była jednak kolejna rozmowa z Piotrem, na którą dziś nie miał najmniejszej ochoty.

Przerwali dopiero gdy Anna musiała wyjść z pokoju, by wziąć udział w nocnej integracji, jednym z kluczowych elementów wyjazdów szkoleniowych ExtremeRest. Robert nie wiedział, na czym ten punkt programu polega, nigdy nie dopytywał i nie zamierzał tego robić.

Wyjazd do Kaliningradu tylko na krótko przerwał figurantowi ćwiczenia gry na akordeonie. W kolejnych dniach każdy wolny wieczór poświęcał niemal wyłącznie na tę czynność. W ocenie Roberta powtarzana od przeszło tygodnia melodia, choć irytująca, była wykonywana niemal bezbłędnie. Raz za razem, w górę i w dół, i jeszcze raz, setki razy każdego wieczora. Błędy rytmiczne i fałsze ożywiały monotonię, pojawiały się jednak coraz rzadziej.

Robert nie słuchał wszystkiego, starał się jednak w miarę dokładnie przeglądać nagrania z monitoringu. Tym bardziej więc ucieszył się, gdy w zapisie z jednego wieczora usłyszał inne dźwięki. Nie przewijał, obserwował dalej. Figurant zmuszał instrument do wydawania kolejnych nieuporządkowanych zgrzytów. Po kilku nieudanych próbach w miarę czysto zagrał kilka dźwięków. Robert poznał melodię. Tę samą, co poprzednio, tylko zagrana na innych dźwiękach. Znów w górę i w dół, w nieskończoność. Przewinął nagranie.

Na niedzielną mszę pojechali we dwóch. Anna miała wrócić dopiero popołudniu, a Julia wciąż była w przedszkolu. Robert nie chciał, by dziecko

musiało znosić towarzystwo Piotra i wdychać zapach palonego tytoniu. Miał nadzieję, że ta zakazana już używka wkrótce zupełnie zniknie nawet z podziemnego rynku i córka nigdy nie będzie musiała się z nią stykać.

Jechali sami. Piotr całą drogę dziękował Robertowi za gościnę. Mówił, że docenia towarzystwo, że nie liczył na to, że rzadko można tak dobrze poznać swoich parafian. Robert wygłosił kilka grzecznościowych zdań, skupiając się na tym, by nie wynikało z nich zbyt zadowolenie z towarzystwa Piotra, a już na pewno nie zaproszenie do ponownych odwiedzin wcześniej, niż było to konieczne. Kolejny raz Piotr miał u nich zamieszkać w przyszłym roku. Robert postanowił, że wtedy na pewno załatwi delegację, albo będzie nocował w hotelu.

Nie mógł się skupić na mszy. Podczas czytań i kazania myśli uciekały w najróżniejszych kierunkach. Czuł się zmęczony. Towarzystwem Piotra, smrodem papierosów, a nawet pracą. Z niechęcią myślał o powrocie Anny i Julii, a nawet o pójściu do pracy w poniedziałek. Mechanicznie uczestniczył w ceremonii, bezmyślnie powtarzając wyuczone przez lata gesty i słowa, takie jak „Wysłuchaj nas Panie” podczas modlitwy wiernych. Wśród wielu intencji Piotr wymienił pokój w Japonii. Dobrze, że Anny tu nie ma – pomyślał Robert.

Ostatnie doniesienia były bardzo niepokojące. Uzgodniono już warunki zawieszenia broni, które miało wejść w życie w najbliższych dniach. Jediną szansą na kontynuowanie działań mógł być jakiś niespodziewany incydent, na przykład kolejne bombardowanie kluczowych obiektów. Nagła eskalacja konfliktu mogłaby spowodować zerwanie dotychczasowych ustaleń.

Kochał Annę i zależało mu, żeby była szczęśliwa, a więc żeby odnosiła sukcesy zawodowe. Pokój w Japonii przekreślał szansę na kolejny spektakularny sukces, nie był klęską, tylko porażką. Mimo to dotkliwą. I to na tyle, że Robert wiedział, że odbije się to negatywnie na ich relacjach w kolejnych tygodniach.

Z zamyślenia na chwilę wyrwały go słowa modlitwy – „Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie i na ziemi”. Przypomniawsobie, co Piotr o niej mówił. Spróbował się skupić na wypowiedzianych słowach. Każdy wers przysłaniał jednak swym znaczeniem kolejne. Usta wypowiadały je zbyt szybko, by treść mogła dotrzeć do umysłu. Spojrzał na księdza, spodziewając się jego wzroku. On jednak patrzył ponad głowami wiernych, w jakiś punkt znajdujący się pewnie gdzieś na styku ściany i sufitu.

Najgorsze scenariusze sprawdziły się. Działania wojenne zamiast ulec eskalacji, wygasły, a formalne zawieszenie broni weszło w życie we

wtorek europejskiego czasu, a o północy z wtorku na środek czasu japońskiego. Wcześniej, dzięki kampanii promocyjnej Anny w Europie, ExtremeRest udało się sprzedać tylko kilka wycieczek. Klientów zniechęciły wcześniejsze doniesienia o rozmowach pokojowych i ustaleniu warunków zawieszenia broni. Niska sprzedaż ograniczyła straty firmy wynikające z konieczności odwołania wyjazdów, w opinii Anny położyła się jednak cieniem na jej skuteczności. Mimo pochwały zawartej w jednej z wiadomości z Beijing była wyraźnie niezadowolona, czemu dawała wyraz, gdy wieczorem spędzali z Robertem kilkadziesiąt minut razem.

Kłopoty w domu skutecznie psuły nastrój. Przy wymagającej pracy cenił porządek i spokój w życiu prywatnym. Wiedział, że kryzys minie, jak tylko Anna otrzyma kolejny ambitny projekt i gdy odniesie wymierny sukces. W tej chwili sytuacja nie była jednak komfortowa.

Mimo braku nadmiaru zajęć przebywał w Biurze dłużej niż zwykle. Zalecenia GlobalHealth dotyczące czasu pracy wymagały w takich sytuacjach pisania wyjaśnień, czego nie lubił, na razie wolał jednak unikać towarzystwa partnerki. Nadmiar czasu wykorzystywał na dokładną obserwację prezesa FB Corp. Było to dość monotonne – każdy dzień pracy figuranta wyglądał tak samo. Biuro, meetingi, telekonferencje, przeglądanie dokumentów, dyktowanie, zatwierdzanie. Po pracy aktywności zgodne z grafiką GlobalHealth wypełniane zawsze bardzo sumiennie, posilek. I akordeon. Kolejne godziny poświęcone na wygrywanie stale tej samej melodii w różnych wersjach.

Któregoś dnia Robert postanowił ją sprawdzić, co okazało się niezwykle łatwe. Wyciął fragment nagrania, w którym wykonanie było czyste i rytmiczne. Profesjonalne narzędzia dostępne analitykom BOK nie dawały możliwości rozpoznawania melodii, wystarczyło jednak ściągnąć z sieci za niewielką kwotę aplikację od AppInc. Nie miała żadnego problemu z rozpoznaniem melodii. To gama. Opis zaciągnięty przez aplikację z internetowej encyklopedii wyjaśniał wszystko. To szereg dźwięków ułożonych według reguł danej skali muzycznej. Dalej w definicji następował niezrozumiały dla Roberta i nieistotny z jego punktu widzenia szczegółowy opis techniczny i na koniec kluczowe zdanie: „Nauka gry poszczególnych gam często stanowi podstawowe ćwiczenie przy nauce gry na instrumentach muzycznych”.

W środę minęły dwa tygodnie od zakupu przez figuranta akordeonu i dwanaście dni ćwiczeń. W sumie według obliczeń Roberta figurant na same ćwiczenia poświęcił w tym czasie dwadzieścia sześć godzin i szesnaście minut, a więc ponad dobę.



Po południu Robert otworzył dossier figuranta. Na liście cech ponadnormatywnych otworzył nową pozycję – nauka gry na akordeonie. Załączył kopie dowodu zakupu instrumentu, harmonogram ćwiczeń z ostatnich dwóch tygodni, podpiął pliki z nagraniami z monitoringu. W skrócie opisał sytuację.

Zatwierdził. Pomarańczowa ósemka po prawej stronie ekranu zmieniła się na dziewiątkę, która przybrała jeszcze bardziej jaskrawy, zbliżony do czerwieni odcień. Tuż pod nią pojawiło się ponowne żądanie dokonania oceny przez analityka. Robert otworzył okno oceny i zaznaczył opcję „Ryzyko wpływu na stabilność Systemu”. Było to równoznaczne z koniecznością przygotowania rekomendacji eliminacji figuranta.

[...]

Robert był przekonany, że jego decyzja jest słuszna. Figuranta prowadził od samego początku swojej pracy. W pewien sposób zdążył się nawet z nim zaprzyjaźnić, choć tamten nie wiedział nawet o jego istnieniu. Rekomendacja musiała być jednoznaczna.

Wykaz cech ponadnormatywnych był przytłaczający. Począwszy od ukończonych publicznych szkół i publicznego uniwersytetu, w dodatku na kierunku humanistycznym (historia), poprzez nietypowy gust artystyczny (zamiłowanie do muzyki ludowej) i ponadnormatywnie jednostajne życie erotyczne (przez jedenaście lat ani jednej zdrady partnerki). Do tego odkryta niedawno skłonność do przesądów. Szaleć przeważał jednak zakup przez figuranta akordeonu i zapal do nauki gry na tym instrumencie.

Wszystkie dokumenty były w porządku. W formularzu wniosku Robert kliknął „Wyślij”.

Za kilka dni przydzielą mu nowego figuranta.

Mimo wiszącego wysoko na niebie sztucznego słońca w pomieszczeniu panował półmrok. Robert podszedł do okna. Zajmujące całą ścianę szyby były od zewnątrz zalane wodą. Przez chwilę obserwował ściekające po nich krople. Zmieniały kierunek, łącząc się w mikroskopijne strumyki, które jednak konsekwentnie zmierzały w jednym kierunku. W dół.

Anna wyjechała w delegację, Julię znowu zostawili na kilka dni w przedszkolu. W ostatnich dniach Robert sypiał dużo, jednak mimo to odczuwał senność i zniechęcenie. A dziś czekało go jeszcze trochę pracy. Otworzył moduł sterujący funkcjami pokoju i włączył ciepłe światło. Ciśnieniomierz wskazywał w pomieszczeniu zaledwie nieco ponad dziewięćset dziewięćdziesiąt hektopaskali. Ustawił na tysiąc i usiadł przy biurku. Z klimatyzacji słychać było cichy szmer tłoczonego powietrza. Wypił kilka łyków wody, by uniknąć uczucia zatkanych uszu i zabrał się do przeglądania raportów.

Figuranci nie sprawiali kłopotów. Ich funkcjonowanie było monotonne i bezpieczne dla systemu. Od ponad tygodnia nie zdarzyło się nic wartego odnotowania. Ich życie, a co za tym idzie praca Roberta, były standardowe i schematyczne. Raporty nie wносиły nic. Robert skatalogował je i odpisał na kilka wiadomości przesłanych przez współpracowników. Otworzył panel analityka, by przy każdym figurancie zaznaczyć brak zmian. Gdy już kończył, zauważył w katalogu „inne” nieprzeczytane powiadomienie. Otworzył. System informował o zakończeniu sprawy figuranta CEO96215FBC@. Robert prowadził go do maja, a po wykryciu zamiłowania do gry na akordeonie rekomendował jego wyeliminowanie.

Powiadomienie zaciekawiło go, choć nie zawierało innych informacji. Robert postanowił to sprawdzić. Figurant – w oficjalnych dokumentach, jak każdy native, określany jedynie indywidualnym tickerem CEO96215FBC@ – nazywał się Janusz Piekarski. Po eliminacji w maju i automatycznej degradacji z grupy native’ów do people’ów Biuro nie zbierało już informacji na jego temat, Robert musiał się więc posiłkować zewnętrznymi bazami danych.

Znalezione w publicznej wyszukiwarce informacje były bardzo skąpe. Po zatwierdzeniu rekomendacji Roberta figurant został z dnia na dzień pozbawiony stanowiska i razem z partnerką przeniesiony do innego środowiska. Okazała się nim niewielka miejscowość o nazwie Włodawa, jeszcze w Polsce, tuż przy granicy Obszaru Białorusi i Ukrainy. Piekarski dostał tam mieszkanie i pracę nauczyciela historii i zastępcy dyrektora miejscowej szkoły publicznej. Jego pensja została znacząco zmniejszona, uwzględniała jednak dotychczasowy status i była wciąż zawrotnie wysoka jak na warunki płacowe people’ów.

Więcej informacji nie było. Poza jedną notatką z dzisiaj.

O śmierci Janusza Piekarskiego. „Na skutek powieszenia, prawdopodobne samobójstwo”.

Deszcz przestał padać, więc do apartamentu wpadało więcej światła niż za dnia. Robert zdjął kurtkę i wszedł do skąpanej w sztucznym słońcu kuchni. Siadł przy pustym stole, opierając się na krzesło i prostując nogi. Przez chwilę nasłuchiwał. W apartamencie panowała niczym niezmacona cisza. Rozpiął dwa górne guziki koszuli, wstał i wyciągnął ją ze spodni. Otworzył szafkę i wybrał jedną z najmniejszych szklanek, jakie były w domu. Z zamrażalnika wyciągnął pokrytą szronem szklaną butelkę. Była pełna mniej niż w połowie, ale i tak zaskoczyło go, że Piotr zostawił aż tyle. Odkręcił zakrętkę i nalał na dno szklanki. Szkło od zewnątrz szybko pokryło się drobnymi kroplami pary wodnej.

Podniósł szklankę i przysunął do ust. Przezroczysty płyn miał zaskakująco gęstą konsystencję. Delikatnie wydzielał ostry, wierzący aromat. Robert znał ten zapach, nigdy go nie lubił. Teraz jednak mu nie przeszkadzał. Albo przeszkadzał mniej.

Przytknął szklankę do dolnej wargi i uniósł ją, odchylając do tyłu głowę.

Wódka wlała się do ust.

Smak taki, jak aromat – ostry i delikatny. Zimny.

Szybko przełknął.

Chłód w przełyku, potem drapanie, coś jak ogień, tylko zimny.

Robert z powrotem usiadł przy stole. W okolicach mostka, gdzieś w środku, poczuł przyjemne ciepło.

Mój pierwszy raz – pomyślał i sięgnął po butelkę.

Marek Pogorzelski